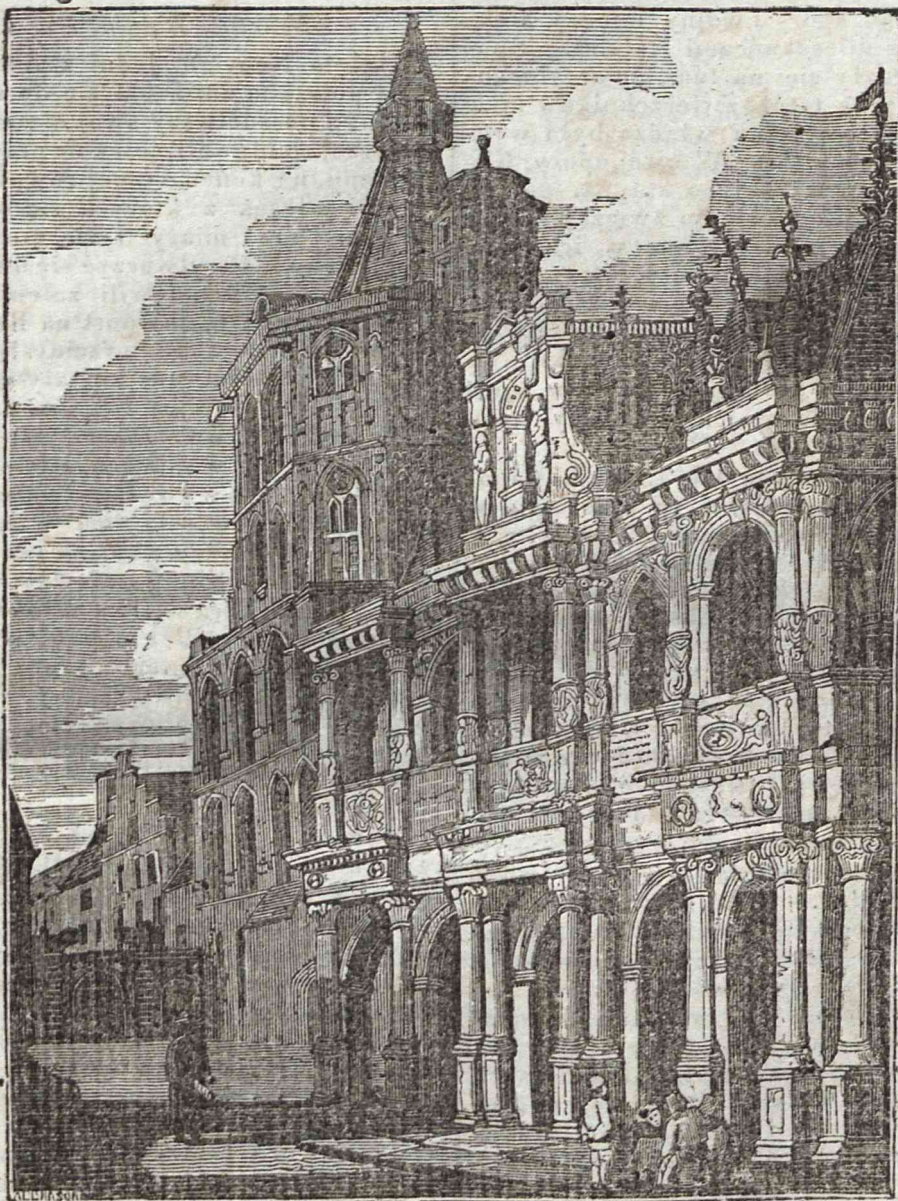


KOLONIA.



Nazwisko miasta Kolonii, pochodzące z łacińskiego *colonia*, osada, wskazuje jego starożytność i początek od Rzymian. Założyli je na dwadzieścia lat przed erą chrześcijańską, Ubienowie, których Cezar już był przyjął za sprzymierzeńców Rzymu i którzy oddali się pod opiekę Agryppy, zięcia i przyjaciela Augusta. Od jego imienia Ubienowie nazwali to miasto *Colonia Agrippina*. W pięćdziesiąt lat potem, powiększyła je matka Nerona, sławna Agryppina, która urodziła się w tém mieście i powstała tam osadę weteranów rzymskich. Odtąd, Kolonią uważano jako sto-

licę krajów nadreńskich. Ciężkie klęski spotkały to miasto, pośród wstrząśnień, które w piątym wieku nastąpiły z przyczyny upadku państwa rzymskiego. Frank Meroweusz, założyciel pierwszej dynastii królów francuzkich, zdobył je na Rzymianach. Attyła wódz Hunnów, odebrał je potem Frankom, znowu powróciło pod panowanie Rzymu, ale wkrótce posiadł je Chilperyk syn Meroweusza i dał jednemu z krewnych swoich. Kłodoweusz przyłączył je do korony francuzkiej. Po rozdzieleniu cesarstwa Karóla W, przeszło pod panowanie książąt niemieckich. Aż dotąd Ko-

lonia zachowała swoje instytucje municypalne, lecz Cesarz Otton W. podbił ją zupełnie, około r. 950 i oddał w moc arcybiskupów Kolonii. Późniejsi cesarze ogłosisi je miastem wolnym cesarskim. Wynikły ztąd spory i wojny między arcybiskupami a mieszkańcami Kolonii. Spory te skończyły się na tém, że arcybiskupi zostali przy tytule zwierzchników miasta, rząd zaś i wszelka władza była w ręku senatu i konsulów. W owej epoce, Kolonia doszła do wysokiego stopnia potęgi. W 1260 przyłączyła się do związku miast Anzatyckich i była czwartą w ich rzędzie. W tym składzie rzeczy, utrzymywała się aż do rewolucyi francuzkiej. Francuzi zdobyli ją w r. 1794 i przyłączyli ją do departamentu Roer. Po upadku Napoleona, Kolonia dostała się Prusom i jest teraz stolicą nadreńskich prowincyi tego mocarstwa.

To miasto zajmujące tak licznymi wspomnieniami historycznymi, w przeciągu osiemnastu wieków, niemniéj także zajmuje małowniczą fizyonomią, którą mu nadają zabytki architektury wieków średnich. Zbudowane na lekkiej pochyłości wzdłuż lewego brzegu Renu, wygiętego w kształcie półksiężyca, ma obwodu dwie przeszło milfrancuzkich, otoczone jest głębokim rowem i starymi murami, na których stoi 83 wież. Ludność do 70.000 dochodząca, na tak obszernej przestrzeni wydawałaby się za bardzo rozproszona, lecz ogrody, winnice i place publiczne, zajmują większą część téj rozległości, a gmachy stoją gęsto przy sobie. Ulice są wąskie i kręte. Domy gotyckiej architektury, zbudowane są z cegieł i drzewa; gmachów z kamienia nie ma wiele. Publiczne pomniki zgadzają się z prywatnymi domami i noszą także poważne piętno czasu.

Kolonia posiada wspaniały ratusz; gmach ten wyobrażony na naszej rycinie, należy do najznamienszych pomników. Zbudowany między dwoma placami, odznacza się szlachetną i wytworną architekturą, pięknym przysionkiem, podwójnym rzędem kolumn marmurowych i pięknymi płaskorzeźbami. Napisy na nim umieszczone, poświadczają o stosunkach tego miasta z Rzymem. W salach znajdowały się portrety rządzców miasta, ich bronie i strzały.

Kolonia nazywano Rzymem niemieckim, z powodu wspaniałości jej gmachów; niektórzy pisarze nazwali ją także miastem świętem posiada bowiem przeszło 300 kościołów i relikwie wielu świętych. Ze wszystkich kościołów najświetniejsze są: N. Panny Maryi z Kapitolu, założony przez Plektrudę żonę króla Pepina i kościół katedralny.

PODRÓŻE WYGNAŃCA.

BARONA D'HAUSSEZ.

ZWIĄZEK NIEMIECKI.

Neuwied, Bingen, i t. d.

Xiażęta Neuwied, jedni z pierwszych uczuli potrzebę zbliżenia się do wycyzajów wieku, a porzuciwszy swój obronny zamek na górze, zbudowali nowy na prawym brzegu Renu, na końcu żyznej równiny. Czterdzieści wiosek z których się składa ich xięztwo, nie miały tyle mieszkańców, aby z nich mogło utworzyć się miasto. Xiażęta Neuwied ustanowili zatem w swoich posiadłościach wolny port na Renie, ogłosili wolność wyznań, przemysłu i handlu. Te środki uwieńczone zostały pomyślnym skutkiem. Ich stolica liczy teraz kilka tysięcy mieszkańców. *Bingen* jest ładnym miasteczko, leżące w miejscu, gdzie Ren nim jeszcze wejdzie w zwężone przejście między górami, rozwija się wcałój wspaniałości. Na przeciwko, na prawym brzegu, jest *Johannisberg*, sławne winnicami. Zamek ten, jest prawdziwą osadą winniczną, bez przechadzek, bez ozdób, bez żadnego zbytku, któryby zabierał grunt szacowny, albo szkodził winnicom; dosłownie zastosowano się do tego prawidła, że winnica nie powinna mieć innego cienia, tylko ten, który pochodzi od kapelusza jej właściciela. Z okna téj obszernej lecz prostej budowy, jest widok na okolice przernięte wspaniałymi nurtami Renu. Krajobraz przybiera znamie wielkości. Wiodokrąg się rozszerza, szeregóły znikają i ustępują przed wspaniałością ogółu.

Przechodząc do innego rodzaju ozdób, zdaje nam się iż przechodzimy także do innej epoki, i porzucając dzikość wieków średnich, wstępujemy w obecną cywilizacyę. Już nie wznosimy oczu, dla upatrywania zamków, które, czas rycerstwa, zawiesił, jak orle gniazda, na nieprzystępnych skałach. Zamiast gotyckich domów natłoczonych przy sobie, widać nad brzegami rzek albo na pochyłości wzgórzów, pokrytych winnicami, wioski których porządek i dobre zabudowania, oznajmniają inną sferę życia, inne obyczaje, lepszy byt i lepszy stan społeczeństwa. Między wioskami, wznoszą się piękne pałace, otoczone zwierzyńcami i przysposabiają nas do wspaniałego widoku zamku *Biberich*, rezydencyi panującego xięcia de Nassau. Na lewej stronie rzeki, w odległości czterech do pięciu mil francuzkich, zamykają widokrąg góry lasami okryte. Na prawej okolica nie tak urozmaiconą, nie tak piękna, zakończy się miastem *Moguncyą*, któ-

ra oznajmiają warownie usypane w wielkiej odległości, po obu stronach rzeki i która wreszcie wznosi się, jako ostatnia i najświetniejsza część tego krajobrazu.

Moguncya, Wisbaden.

Gdy wjedziemy wewnątrz miasta, Moguncya nie czyni zadosyć wyobrażeniu, któreśmy sobie tworzyli na widok jej pięknej okolicy i obszernych murów. Przy wązkich ulicach stoi bardzo wiele pięknych gmachów, lecz nie można ocenić ich piękności, tak są źle otoczone i tak szczupły mają widok. Rzeźb jest mnóstwo, lecz wszystkie są bardzo proste. Moguncya zostawała dawniej pod rządem duchownym, teraz jest pod opieką konfederacji niemieckiej. Austriacy i Prusacy trzymają tam po 8000 żołęgi. Dzień jeden wystarczy na obejrzenie kościoła katedralnego, tój największej osobliwości miasta. Spiesznie szukałem rozrywki w *Wisbaden*, w ładnym miasteczku o trzy mile od Moguncyi, gdzie odbywają się posiedzenia sejmu księżstwa de Nassau, gdzie chorzy szukają zdrowia, a zdrowi przyjeżdżają traćć pieniądze. Miasteczko to, ma piękne domy, liczne kąpiele, ładny teatr i salę balową. Przydajmy do tych przyjemności, bliskość granic francuzkich, a nie będzieniy się dziwić, że Wisbaden, jest miejscem zjazdu, licznego i dobranego towarzystwa.

Frankfort.

Z Wisbaden do Frankfortu przejeżdża się przez kraj dobrze uprawny i bardziej upiękny pomyślnym bytem, niżeli wdziękami przyrodzenia. Ulice szerokie, dobrze brukowane, przy których stoją wspaniałe domy, obszernie place, kilka znakomitych gmachów, hojnie uposażone zakłady publiczne, piękny zbiór obrazów, muzeum historyi naturalnej bardzo kompletny, ogród botaniczny, wodotryski mało mające wody, lecz za to ozdobione mnóstwem płaskorzeźb, bronzów, obelisków, urn i kolumn, teatr nie zbyt wspaniały, ale przez dobrych artystów utrzymywany, przechadzki, któreby można gustowniej urządzić, ale czyste i ocienione, a przytém wszystkiém, społeczeństwo spokojna, bogata, wykształcona, ożywiona obecnością postów królów i książąt związku niemieckiego, oto są zalety i przyjemności tego miasta. Dla tego też Frankfort liczy się do miast Europy, w których najprzyjemniej jest mieszkać.

Frankfort jest składem towarów i kantorem północnej Europy. Jego handlowe i bankierskie stosunki, rozciągają się do wszystkich miejsc i czynią je niezmier-

nie bogatém. To miasto, jak wiemy, jest jednym z wolnych miast niemieckich, to jest, iż ma swoią własną administracyą, a co do stosunków politycznych, ulega ogólnym zasadom związku. Ma dwóch burmistrzów, którzy wyobrażają sobie, że posiadają władzę tak wielką, jak była niegdys konsulów rzymskich, senat, w którym kilkunastu bankierów gra ważną rolę, radę miejską, z której bardzo chlubią się mieszkańcy, a nareszcie gwardyą, której szlify zadosyć czynią pospolitej próżności. Te wszystkie korzyści połączone są wprawdzie z niektórymi ciężarami, jako to z wielką opłatą podatków, z linią celną pięciu lub sześciu xiążąt, o ćwierć mili od miasta zaprowadzoną: dalej bowiem nie rozciąga się terytoryum Frankfortu.

H a n a u.

Pod czas pobytu w Frankforcie, nadarzyła mi się sposobność poznania okolicy, i udałem się na żałobny obrzęd, który sprowadzał mnóstwo ludzi do miasta Hannau. Uroczystość tę ustanowiono, jak mi powiadano, na cześć jakiegoś niemieckiego generała, który nie chcąc przeżyć przegranej, usiadł na beczce prochu i wysadził się na powietrze. Zaczęto od entuzjazmu i przyrzeczono sobie, że co rok opłakiwać będą śmierć bohatera. Dzięki Opatrzności, boleść nie może trwać długo na świecie. Zamiast więc płakać przy grobie męźnego, zaczęto pić, potem tańczyć i obchód żałobny zamieniono w ochoczą zabawę.

Spodziewałem się więc, że w lasach Hannauskich znajdę wesołość, i widziałem ją na wszystkich twarzach, Męczyzni pality tytuń, jedli i pili, kobiety tańcowały. Lecz daremnie upatrywałem piękności. Pospolita kibić, rysy nie odroźniające się niczem, twarze podobne jedne do drugich, niebieskie oczy, jasne włosy, płeć biała: gdyby nie piegi, więcej upowszechnione w tym kraju, niżeli gdziekolwiek indziej: twarze ogorzale, taka jest postać pospółstwa. Też same rysy, nie tak opalone, trochę delikatniejsze, widzieć można w klassach wyższych.

To zgromadzenie pięciu lub sześciu tysięcy osób, znajdowało się w okolicy dobrze uprawnej i pięknymi lasami przeciętej. Podobne było do wiejskiego jarmarku. Orkiestry przygrywały walce, pod namiotami siedzieli pijący, ledwie można było przedrzeć się przez tłumy, a pijani ludzie leżeli na ziemi. Na takich obchodach w Niemczech, napatrzeć się można rozmaitym strojom; w każdym bowiem okręgu jest odmienny. Obok kaszkiecika i długiej nie-

bieskiej sukni wieśniaka z dolin; widać kończasty kapelusz obszyty wstążkami, albo czapkę ze skóry sarniej, z pękiem sztucznych kwiatów, albo z blachą złotoną, okrągłą kamizelkę, krótkie spodnie i trzewiki ze srebrnymi sprzączkami góralów. Tu jasne włosy kobiet, są tylko ozdobione grzebieniem, strzałą, albo przepaską srebrną; tam pokryte czapeczką z czarnego jedwabiu, albo złotego sukna, u której aż do ziemi wiszą szerokie wstążki; gdzie indziej noszą wielki słomiany kapelusz. Łańcuchy złote lub srebrne, szklane paciorki rozmaitego koloru, spódniczki bardzo długie, albo też bardzo krótkie, rogowe gorsety nadające dziwną postać ciastu, albo też suknie bynajmniej go nieściskające, nadzwyczajne ozdoby, wszystko to bawi cudzoziemca i nastrocza mu bardzo wiele wspomnień. Od tej wesołej sceny, wyobraźnia moja przeniosła się do tej pamiętnej walki, w której szczątki wojska francuzkiego, cofające się z pod Lipska, otworzyły sobie drogę rozbiwszy wojsko Bawarskie.

Oppenheim, Worms.

Aż do Renu, droga z Frankfortu do Manheimu idzie przez niezyną i piaszczystą okolicę, której część jedną pokrywają sosnowe lasy, a drugą zaś przecinają wioski otoczone polami, na których sieją żyto, owies i sadzą kartofle. Ta droga, która w odległości czterech do pięciu mil jest prawie nie znaczną, łączy się w Oppenheim z drogą idącą z Moguncyi do Strasburga. Jesteśmy w ówczas na dolinie Renu, jeżeli można nazywać doliną, płaszczystą jak najrówniejszą, ciągnącą się na kilka mil na prawo i na lewo rzeki, którą rzadko bardzo postrzedz można i tylko odgadywać ją trzeba z masztów i żagłów przesuujących się po niej. Widokrąg ograniczony jest górami średniej wielkości; przyjemny widok tworzą ich rozmaite kształty, pokryte lasami albo uprawne i zasiane zbożem.

Jednostajność równiny, urozmaicona jest mnóstwem wiosek i folwarczków. Rolnictwo przybiera tam znajmy ogrodnictwo, tak dalece jest rozdrobniony podział gruntów. Kobiety podejmują ciężkie prace około roli; widać to z ich wynędznienia i braku świeżości. Pracują w każdej porze roku, bez kapelusza, bez ponczóch, bez trzewików, aby tylko opędzić pierwsze potrzeby życia. Niedaleko od Oppenheimu jest miasto Worms, nie zbyt rozległe, źle zbudowane, smutne, w którym sam tylko katedralny kościół gotyckiej architektury, na uwagę zasługuje.

WIELKIE KSIĘZTWO BADEŃSKIE.

Manheim.

Z niezmiernym i kosztownym pałacem w którym książę nie mieszka, z obszernymi koszarami, w których nie ma wojska, z pustymi i szerokimi ulicami, na których nie ma ruchu i ludności, z pomnikami na które nikt nie patrzy, z obwodem napelnionym niskimi domami, ze szpitalem, teatrem i przechadzkami, Manheim wygląda jak stolica, która oczekuje na królestwo i nigdy go się nie doczeka. W teraźniejszym składzie Niemiec, Manheim należy do księstwa Badeńskiego a jego pałac i inne gmachy publiczne, są bezużytecznym ciężarem. Piękne domy tego miasta, zajmuje kilka rodzin angielskich, które w nim osiadły z powodu tanności życia.

Sztuki i przemysł dosyć kwitną. Wyrabiają tam wiele przedmiotów zbytkowych. Port Manheimu, jest składem handlu wyższego Renu. Muzyką zajmują się z wielkiem powodzeniem i chociaż w szybkim przejeździe, mógłbym przekonać się o tém; byłem bowiem na koncercie amatorskim, granym przez osoby znakomitem obdarzone talentem. Chwałą uprzejmość wyższego społeczeństwa w Manheimie. Uważam to miasto jako jedno z tych, w którym cudzoziemiec najbardziej może sobie upodobać.

Pałac książęcy, zwraca uwagę raczej z powodu obszerności i regularności, niżeli z powodu wytworu budownictwa. Mania stawiania kamieni w jednym rzędzie, nie może się dalej posunąć. Aby mieć o niej wyobrażenie, dosyć będzie wspomnieć, że główny korpus ma 500 stóp długości, że dwa skrzydła mają po 400, a dwa gmachy dotykające do tych skrzydeł, długie są na 800 stóp każdy. Widziany ze strony dziedzińca, pałac ten podobny jest do zamku Wersalskiego, w takiej jednakże proporcji, jak księstwo Badeńskie do Francji. Wewnątrz znajduje się ciąg apartamentów niczem nie ozdobionych, prócz obicia okrywającego ściany. Meble nie są bogate. Sala ozdobiona malowaniami al fresco, kaplica i galerya obrazów, zasługują na wspomnienie. W galeryi znajdują się najpiękniejsze obrazy Teniera, wielka liczba Wuermana, Rembrandta, Ruisdaela i kilka ułamków szkoły włoskiej i francuzkiej.

(Dalszy ciąg nastąpi).

P O G R Z E B.



Pomiędzy tegoczesnymi malarzami szkoły francuskiej, znamięte miejsce zajmuje pan Leopold Robert. Ten artysta urodził się w 1794. w Neuchatel w Szwajcarii, ojciec jego był zegarmistrzem. W roku 1810 sztycharz Girardet sprowadził go do Paryża, a młody Leopold, tak dalece pod jego przewodnictwem postąpił, że w 1814 otrzymał drugą nagrodę sztycharstwa w Rzymie. W owój epoce, uczęszczać zaczął do pracowni Dawida i oddał się malarstwu. Od tego sławnego mistrza przejął czystość i szlachetność rysunku. W 1816 osiadł w Szwajcarii i dał się poznać

zrobieniem kilku znakomitych portretów. Wówczas, pewien miłośnik sztuk pięknych dopomógł mu do udania się do Rzymu. Przez lat kilka żył tam w ukryciu, zajęty pracą, aż nareście piękne jego utwory rozgłosiły jego sławę i zjednały mu wziętość. W r. 1822 dał na wystawę sztuk pięknych w Luwrze, kilka obrazów, między którymi zwróciły powszechną uwagę, *Korynna improwizująca na przyładku Mize-ny* i *Widok gór Terracyny*. W r. 1824 postreżono wielkie postępy w obrazie *Marynarza neapolitańskiego* i *Pielgrzymów wypoczywających na płaszczynie Rzymu*. W r.

1827 stawa tego artysty doszła do najwyższego stopnia. Trzy obrazy, *Znieważenie na bagnach Pontyjskich*, *Odjazd na długie rybołówstwo* i *Pogrzeb*, są najcenniejszymi jego utworami. Umieszczamy rysunek tego ostatniego obrazu. Kreśląc go, malarz, pod niebem Włoch szukał natchnienia i w okolicach Rzymu upatrzył jedną z tkliwych i prostych scen, które pędzłem swoim, z prawdą, czystością i przyjemnością wystawia. Śmierć uderzyła naczelnika rodziny wieśniaków i malarz wybrał tę chwilę, gdy już zabrać mają zwłoki z ojczywego domu. Stary ociemniały ojciec, żona zmarłego, jego młody syn i córka, wystawieni są na pierwszym planie obrazu, z tą trafnością, która cechuje talent Roberta, Bolesć, odmienna na każdej twarzy, stósownie do płci i wieku, na żadnej nie jest gminną i nie szlachetną. Ci ubodzy wieśniacy, w chatce cierpią i płaczą, z godnością dawnych Rzymian; żaden przymus i nienaturalność nie osłabia zająęcia. Czujemy, że szlachetna ich fizyonomia nie jest maską, którą na nich narzucił artysta, trzymając się klasycznych podań. Kawałek nie dojedzonego chleba, którym trzyma wręku chłopak i którym jeść będzie, gdy przeminie pierwsze uczucie boleści, jest dowcipnym wyrażeniem dziecinnego smutku. W głębi stoi kilka postaci, nadających tym wydatniejszą barwę miejscowości, rozpostartej po całym dziele. Orszak pogrzebowy gotów wyruszyć, nad którym panuje twarz zmarłego, odkryta podług starożytnego zwyczaju, utworzony jest przez bractwo Czarnych Pokutników, poświęcających się w Rzymie, najsmutniejszej postudze chrześcijańskiej.

CAŁE ŻYCIE CIERPIEŃ, A KWADRANS RADOŚCI.

§. I.

R O Z P A C Z.

Ten tylko kto mieszka we Flandryi, wie jak smutna jest postać tego kraju przy końcu jesieni, gdy zimny i rześisty deszcz pada przez kilka tygodni. Niebo ciągle jest pochmurne, nie ma ani promienia słońca, ani kawałka błękitu; wiatr świszczy i wyje gwałtownie pomiędzy drzewami i wstrząsa ich obnażone konary; po drogach zamienionych w potoki, płynie bystra woda z mułem zmieszana. Tawilgotna atmosfera, ściska nerwy i zachmurza najweselszą wyobraźnię. Wszystko

przejmuje się wrażeniem smutku. Byłoby gnuśnie kładzie się w stajni i obojętnie patrzy na przynieszoną paszę, a jego bezczynni właściciele, siedzą w milczeniu przy ognisku. Gospodynie nawet, zasmuczone szumem wichru, którym wstrząsa oknami, nie są tak zwinne; zapominają rozweselać gospodarskie prace, śpiewaniem starych ballad; zawczasu zamykają drzwi i psy spuszczaają. Bo w takiej porze, gdy noc zapada o czwartej, oddziały żandarmeryi nie zapuszczają się wniedostępne drogi, a złoczyńcy krążą około folwarków i nie raz napadają na nie z toporem w ręku. Dla tego też, wiadomość o pożarze lub zabójstwie, częstokroć podwaja przestrach i nieufność, a gospodarze ryglują drzwi i nabijają zardzewiały muszkiet, wieszający spokojnie nad kominem.

Otóż więc: było to przy końcu jesieni: noc zapadła, deszcz gwałtowny padał, po drogach spływała woda, a przecież człowiek mający około czterdziestu lat, jechał z udaną obojętnością, małym wózkiem, ciągniętym przez wychudłego konia. Wózek ten składał się z dwóch oddzielnych części; na przodzie był to jakoby karykiel, a w tyle była ogromna skrzynia, tak wysoka jak karykiel i zapewne przeznaczona na towary. Latarnia przymocowana do jednego boku wózka, rzucała żółtawe światło na twarz podróżnika i ukradkiem pokazywała jego fizyonomią pełną energii i czoło zachmurzone jakąś zgubną myślą.

W rzeczy samej, biedny ten człowiek, mimo uporeczywego boju z nieszczęściem, stracił wszystko co tylko posiadał, stracił skutkiem niespodziewanego ciosu, który niszczy najlepsze najrozsądniejsze rachuby. W wigilię dnia tego, przybywszy do wioski Lejendorp, wypakował szkła i fajanse, składające jego ładunek. Nazajutrz spodziewał się pomyślniej sprzedaży i usnął z nadzieją, że po tygodniowym pobycie w Lejendorp, nie mało pieniędzy przywiezie do domu, gdy w tym obudziło go wotanie »gore! gore!«... Zerwał się na pół nagi. Karczma gdzie w osobnej izbie złożony był swoje towary, już stała, w płomieniach i zaledwie zdołał wyratować pustą brykę i konia. Musiał wyjechać nazajutrz rano, zniszczony ze szczętem, z rozpaczą w sercu. Dla tego to, puścił lejece koniowi, dla tego brwi jego zamarszczyły się z wyrazem ponurój i okropnej boleści.

»Smutny będzie, pomyślał sobie, mój powrót do domu. Żona moja, matka i syn, liczą ile dni jeszcze upłynie i mówią sobie, »Dziś zaczął się jarmark, sprzedaż pojedzie mu pomyślnie, powróci za osiem lub dziesięć dni z dobrym zarobkiem i zapłaci dług, które zaciągnąć musiał podczas trzech

miesięcznej choroby. Nieszczęście! jutro zobaczą mię powracającego, bez szeląga, zniszczonego, zadłużonego, zagrożonego więzieniem, bo lichwiarz, który mi pożyczył trzy tysiące złotych, nie zaczeka ani jednej godziny. O mój Boże! jakżem nieszczęśliwy! Cóż przewinił Mikołaj Dow, że tak surowo z nim się obchodzisz!

— Nie mam żadnego środka ratunku! Będąc winien tak znaczną kwotę, nie znajduję nikogo, któryby mi chciał dopomódz. A więc nędza i sromota spadnie na mnie i na rodzinę moją, gdyż wrzucą mię do więzienia złodziejów i bankrutów!

— Nie! zawołał uniesiony rozpaczą, nie! nie pójdę do więzienia. Jeżeli nie mogę dopomódz mojej żonie i synowi, jeżeli mam sięgnąć na nich ohydę, zakończę nędzę, która mię tak długo obarcza. Umrę.

I mocno zaciął konia, który powoli i z obawą postępował nad brzegiem głębokiego wąwozu.

Koń przestraszony wstrzymał się natychmiast i nie chciał iść mimo wołania i rąków. Podczas tej sprzeczki, wóz cofnął się, brzeg wąwozu rozmoczony od deszczu, osunął się, a powóz, koń i człowiek wpadli z łoskotem w przepaść, w głębi której płynął wezbrany potok.

Wóz roztrzaskał się na kawałki, a bystre nurty porwały pokaleczone zwłoki konia. Ale człowiek, ze złamaną ręką i zranioną głową, uczuł znowu, w tém okropném niebezpieczeństwie, przywiązanie do życia, którego przed chwilą chciał się pozbyć i usiłował dostać się do brzegu.

Po niestetychanych wysileniach, dokazał tego, ale nie mógł uchwycić się brzegu, gdyż był za bardzo śliski. Bystry potok wycieńczył siły nieszczęśliwego i uniosł go w swoim pędzie. Wkrótce przestał pływać. Potem zniknął w toni i tylko dwa razy jeszcze wyrzuciła go woda.

Nareście pień drzewa leżącego w poprzek potoku, zatrzymał trupa.

§. II.

MATKA BOLEJĄCA.

Nazajutrz słońce weszło jaśniejsze na wypogodzoném niebie, a jego promienie zaiskrzyły tysiącem światła, mokry i jeszcze ciekący dach małego domku w Lejdzie.

Dla tego też, trzy kobiety mieszkające w tym domu, które zaledwie zdołały usnąć pośród huku burzy, obudziwszy się rano, doznały, na widok pogodnego słońca i błękitu nieba, takiej radości, jak Noe w arce, gdy gołębicą przyniosła mu różyczkę oliwną. Przydać trzeba, że prócz pogody wracającej po tylu dniach dżdżystych, inny

powód zadowolenia rozpogodził ich twarze. Rzęsisty deszcz wczorajszy, napełnił trzy ogromne beczki stojące pod rynnami, i znaczne gospodynie miały zapas przynajmniej na trzy tygodnie; wody najlepszej do prania bielizny: nie licząc i tego, że woda ta potrzebuje daleko mniej mydła, niżeli woda ze studni albo źródła.

Najpierw przeto udzieliły sobie tę ważną wiadomość.

— Mamy trzy pełne beczki: rzekła tłuśta Barbara do swojej pani, która jeszcze leżąc w łóżku, karmiła ładną dziewczynkę, dopiero pięć miesięcy mającą.

— Trzy beczki są pełne, matko: powtórzyła ta młoda kobieta do podeszłej damy, która ją pocałowała w czoło. Dziecię spojrzęło na babkę błękitnymi oczyma i uśmiechało się do niej, nie puszczać wszakże piersi matczynęj.

— Wiem o tém Garitto, wiem, nie raz bowiem obudziłam się tej nocy i słyszałam jak woda leciała rynną. To dobrze, pomyślałam sobie, nocujemy w ciepłych izbach, my tu, a syn mój w Lejendorp. Bogu niechaj będą dzięki za ten deszcz: byleby tylko nikomu krzywdy nie zrobił: oszczędzi bowiem roboty Barbarze, a nasza bielizna będzie jak najbielsza. A Gerard czy śpi jeszcze? przydała, podnosząc firankę zasłaniającą okno małego gabinetu.

— Śpi, snem jak najgłębszym od wczorajszego wieczora i ani się domyśla biedne dziecko, że tej nocy była taka burza. Gerardzie, Gerardzie!

— Co! babko? odpowiedział dwunastoletni chłopczyk jeszcze na wpół uspiiony.

— Ósma bije: odpowiedziała ze złośliwym uśmiechem: za późno przyjdiesz do pracowni.

— Ósma! ósma! Będą mię łajać.

I z pośpiechem dziecko zerwało się z łóżka.

— Nie śpiesz się tak Gerardzie, masz czas ubrać się i zjeść śniadanie, dopiero jest w pół do siódmej.

— Ach babulu! zawsze mi wyrządzasz tę psotę.

— I dla tego zapewne nie uściskałeś ani mnie, ani twojej matki i małej siostrzyczki?

— Przebacz mi; ale bo nie można późno przychodzić do pracowni. Rembrandt się gniewa i łaje. Przeciwnie zaś, dobra panna Ludwika, gdy wcześniej przyjdę, nie omieszka powiedzieć: »Ołóż jest Gerard! najpilniejszy ze wszystkich naszych uczniów» a to mi jest bardzo przyjemnie.

Gdy tak rozmawiali, Barbara otwierała sklep i myła jego posadzkę z palonych kaflów zrobioną.

Na pierwszy rzut oka trudno byłoby po-

wiedzieć jaki był główny handel, którym trudnili się właściciele tego sklepu; zawałonego tysiącem rozmaitych rzeczy. Ażeby się objaśnić, trzeba było przeczytać szyld, na którym dużemi literami ze złotą już wypłowiałego, napisano:

POD CZERWONĄ PÓNCZOCHĄ

DOW MIKOŁAJ,

Kupiec towarów szklanych i łokciowych.

Z resztą, najmniej było szkła w tym sklepie, a za to znajdowało się mnóstwo innych rzeczy, jako to płótna, korzenie, a nawet szkarpetki i kaftaniki.

Sklep Mikołaja Dow, zarządzany przez jego żonę i matkę, posiadał wielką sławę w Lejdzie, wiadano że tam wszystkiego dostać można taniej niżeli gdziekolwiek indziej, że towary są w jak najlepszym gatunku i nareście wszyscy nazwyczaili się Bóg wie od jak dawnego czasu, kupować w tym sklepie od pani Dow, dobrej stariej kupcowej, wiedzącej o wszystkim co się dzieje w mieście i tyle tylko zacinającej wyżej nad istotną cenę, ile było trzeba, iżby mieli przyjemność potargować się trochę.

Trzeba ją było widzieć w tym sklepie, w małym czepeczku jaśniejącej białości, który pokrywał jej siwe włosy, podług zwyczaju krajowego. Uprzejma, rozmowna, z uprzedzającą żywością usługiwała gościom, a dosyć znaczna otyłość nic jej nie przeszkadzała. Jeżeli przez chwilę nie było nikogo w sklepie, pani Dow stawała na progu, spoglądała co się dzieje w sąsiedztwie, witała znajomych, którzy przechodzili koło jej sklepu, (a miała znajomych w całym mieście) a jeżeli było dosyć czasu prowadziła z niemi rozmowę. Z resztą, chociażby jak najwięcej osób było w sklepie, na najmniejszy hałas wybiegała na próg, pytała się o przyczynę tej wrzawy i wracała natychmiast, opowiedzieć ją swym gościom, nie mniej ciekawym.

Dziewięta była; maty Gerard dawno poszedł już do pracowni Rembrandta, jego matka uspiwszy dziecię, dopomagała Barbarze mydlić bieliznę i już pięciu lub sześciu kupujących zawitało do sklepu.

W tém nadzwyczajna wrzawa powstaje na końcu ulicy, ta wrzawa musi oznajmiać wielkie zebranie ludzi, albowiem odgłosy licznych stąpań, dają się słyszeć, pomieszane z niewyraźnym wołaniem.

W oka mgnieniu, pani domu wybiega na próg i patrzy w tę stronę, z kąd idzie gromada, lecz słońce bijąc jej w oczy, niedozwalało jej widzieć dobrze, musiała rękę przyłożyć do oczu. — «O Boże! gdzie idą ci ludzie, niosąc tragi pokryte prześciera-

dłem? Dobrze! idą ku mnie, zaspokoję moją ciekawość.

Jeden z ludzi odłączył się od gromady i postąpił ku niej. — «Dzień dobry sąsiedzie. O Boże! jakże jesteś blady? wnijdź i usiądź. — Pani Dow! biedna pani Dow! rzekł ten człowiek, skinąwszy na orszak, aby nie postępował na przód.

Scisnęło się serce stariej kobiety, sama nie wiedziała dla czego; jakaś niespokojność ją ogarnęła, chociaż przekonana była, że to nieszczęście nie może jej zagrażać.

— «Cóż ci to jest kumie? mów, co ci się stało?»

— «Mnie nic, moja kochana pani, ale wam..»

— «Mnie!»

— «Milczcie, potrzeba przygotować waszą córkę, do téj okropnej wiadomości. Karmi, mogłaby to przyptać życie.

— «Mój syn!»

— «Jego to przynoszą..»

— «Mój syn! mój syn jest zraniony. Ach! może niebezpiecznie. Lećmy.

— «Zostań, zostań.

— «Zatrzymujesz mię... a więc umarł!»

Blada wyrwała się z rąk tego człowieka i pobiegła do gromady. Na jej widok tłum ustąpił się z uszanowaniem.

Stara kobieta postąpiła prosto ku trągom, odrzuciła prześcieradło zakrywające zwłoki jej syna i patrzyła na trupa, nie roniąc ani jednej łzy, nie wydając ani jednego westchnienia.

Jest rozpacz w której płakać nie można. Jej spojrzenia były krwawe i wryte, oczy zamykały się konwulsyjnie, a zęby szczerły gwałtownie; może byłaby nie zniosła tego ciosu, ale proboszcz jej parafii nadzszedł na tę scenę rozpacz, zbliżył się do nieszczęsnej matki, wziął ją za rękę i rzekł po eichu:

— «A twoja synowa? a twoje wnuki?»

Spojrzała na niego, dwie łzy puściły się z jej niewzruszonych powiek i spłynęły po zmarszczonych licach.

Pójdę do niej, rzekła nareście. Uszła kilka kroków i zatrzymała się.

— «Nie, nie zdołam jej tego powiedzieć: zawołała.

Przez ten czas, młoda kobieta, ciekawa jak wszystkie osoby wiodące jednostajne życie, wybiegła także dowiedzieć się dla czego takie mnóstwo ludzi zebrało się na ulicy. Bliskość niebezpieczeństwa, przywróciła stariej matce siłę i przytomność umysłu.

— «Garitto, rzekła, pójdź; odejdz ztąd. Zaprowadziła ją do izby za sklepein i zalana łzami rzuciła się w objęcia nieszczęśliwej małżonki. — «Mąż mój! co się stało mojemu mężowi? wyjąkała Garitta i zemdlała.

(Dokończenie w następującym zeszyt.)